



ANDRZEJ
MAKOWIECKI
SZEPTY ZZA GROBU



ANDRZEJ
MAKOWIECKI
SZEPTY ZZA GROBU

Korekta:

Monika Ulatowska

Fotografia na okładce:

Rafał Tomczyk

Projekt okładki:

Wojciech Miatkowski

Skład:

Joanna Pelc

© Copyright by Książy Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2017

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-472-7



KSIĄŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Książy Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2017. Wydanie 1

CZĘŚĆ PIERWSZA
WŚCIEKŁE PSY. ZDRADA!

1

Damian Ross, primadonna jednego sezonu, literat, którego sława zbladła już w świadomości współczesnych, mężczyzna wszelako nie stary, czterdzieści dziewięć lat liczył był sobie (żeby użyć czasu zaprzęszłego), kiedy musiał opuścić najpiękniejszy ze światów. Otóż człowiek ten na rok przed śmiercią, która była aktem wyboru i pieczęcią prawa, golił się wczesnym rankiem w hotelowej łazience. Dużo piany, brzytwa. Podciągając palcem skórę na skroni, śledził bez nadmiernej satysfakcji chudą twarz – wysokie czoło, długi, ostry nos, usta wreszcie, wąskie, o znużonych kącikach, zdradzających, jak się zdaje, pewne symptomy twórczej dojrzałości, właśnie to! Jeśli Damian Ross przerywał na chwilę golenie i wpatrywał się badawczo w lustrzane *vis-à-vis*, nie było w tym narcyzmu, żadnej kokieterii, szukał w sobie natomiast, powiedzmy szczerze, owych szczególnych znamion mądrości i wiedzy, które pozwalają tworzyć arcydzieła.

Damian Ross, niespełniona nadzieja ludzkości. Golił akurat drugi policzek, ściągając wprawnymi, zamaszystymi ruchami brzytwy szron zarostu, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Przez moment patrzył jeszcze w lustro. Perełka krwi nad wargą. Otarł ją grzbietem dłoni i opuszczając brzytwę, powiedział:

– Proszę.

Kląsnął zamek. W szerokim, szczerze oświetlonym korytarzu pojawił się najpierw wózek na kółkach, a potem młody człowiek w białym fraku; zapach kawy i chrupkiego pieczywa.

– Pan zamawiał śniadanie?

– Owszem.

– Dwadzieścia jeden pięćdziesiąt.

Damian Ross, który postąpił w stronę pokoju, przyjrzał się swoim namydlonym rękóm. Trochę zakłęślej piany, upstrzonej czarnymi kielkami włosków, kapnęło z ostrza na spodnie; zerknął na łóżko; spod niebieskiego koca wystawał zaledwie róg poduszki; uspokojony, wskazał kelnerowi marynarkę zawieszoną na poręczu krzesła.

– Pan będzie łaskaw wyjąć portfel z prawej, wewnętrznej kieszeni...

Wystawił obydwie dłonie na dowód, że nie może zrobić tego sam. Kelner mruknął coś z dezaprobatą, ale wykonał polecenie. Miał ładną, pyzatą twarz i sprośne czerwone wargi. Ross machinalnie szukał porównania: tłuste i krągłe niby rozcięta na połowę szminka. Przeniósł wzrok na szyję kelnera, różową, rozdętą lekko przez tarczycę, pokrytą czymś w rodzaju wiecznej gęsiej skórki; cień odrazy i buntu. Widząc, jak chłopak wyciąga z portfela pięćdziesiąt złotych, rzekł pospiesznie:

– Proszę wydać mi dwadzieścia.

Tamten poszperał dla przyzwoitości w kieszeniach i choć słychać było brzęk przesypującego się bilonu, zapytał przekornie:

– Nie ma pan drobnych?

– To pan powinien je mieć, nie ja – zauważył z uśmiechem Damian Ross.

– A gdzie tak pisze? – zachnął się kelner. Jego wzdęte, różowe podgardle pokraśniało o cały ton. – I po co od razu te nerwy?

– Nerwy?

– Aha. Nerwy!

Ross umilkł. Piękny hotel, przytulny pokój; wygodne łoże, stół, dwa fotele, krzesło, obraz z Pałacem Poznańskich na ścianie. Dywan i ciężkie, zielone kotary w oknach zdawały się odgradzać go od świata. Cisza, która tak bardzo sprzyja myśleniu. I nagle ten zgrzyt.

– Bo chyba grzecznie pana pytałem?

– Ależ tak, bardzo grzecznie. Wyda mi pan resztę innym razem.

Kelner rozważał jakiś czas propozycję, nurzając dłonie w wypchnych kieszeniach. Szyja wróciła na chwilę do swojej normalnej barwy, a potem znowu nabiegła krwią.

Sapiąc, wyciągnął garść monet.

– Ja pana pieniędzy nie potrzebuję – powiedział i nie licząc, rzucił je na stół.

Ross przymknął oczy i wtedy, właśnie wtedy, kiedy chłopak strześlił za sobą drzwiami, miał swoje wielkie literackie objawienie, mgliste jeszcze, bez wyraźnych konturów, wystarczająco przecież ponure, aby poczuć na czole kropelki zimnego potu.

2

Był gotowy od dobrych kilkunastu minut; czekał niecierpliwie przy drzwiach paląc jednego z tych długich, amerykańskich papierosów, które kurczą się o centymetr po każdym pociągnięciu. Kobieta jeszcze marudziła w łazience.

– Pospiesz się, na miłość boską – powiedział. – I tak już jesteście spóźnieni.

Poprzez szmer wody w rurach usłyszał jakąś niezrozumiałą odpowiedź, a w chwilę później przeciągłe, beztroskie pytanie:

– Sprawdziłeś gaz?

– Tak.

– To zamknij okno w sypialni, będzie deszcz.

Artur cofnął się w głąb mieszkania posłuszny owemu śpiewnemu, kapryśnemu altowi, który w równej mierze drażnił go, co podniecał. Mijając otwartą łazienkę, zobaczył w lustrze jej profil; poprawiała burzę jasnych włosów nad czołem, wydymając pełne, czerwone wargi; woń pudru i drogich perfum. Poczul zazdrość. Wchodząc do pokoju, po-

ruszył ręką i grudka spopielonego tytoniu padła na dywan, roztarł ją podeszwą z niejasnym poczuciem winy.

– Pomyślałeś o kwiatach?

– Nie – przyznał Artur ze skrucą.

– Twoja sprawa.

– Sądzisz, że to konieczne? Nie lubię dawać mężczyznom kwiatów.

Była już w korytarzu. Nie spiesząc się, wyjęła z szafy wzorzystą, japońską parasolkę i spojrzała na męża z rozbawieniem.

– Mógłbyś dać je Stefanii.

– Stefanii? A bo to ona dostała nagrodę?

– W pewnym sensie. W pewnym sensie właśnie ona, nie mówiąc o tym, że jest panią domu i że inni na pewno przyjdą z kwiatami.

– Dręczysz mnie – powiedział Artur. – Może kupi się gdzieś po drodze... W tym kiosku na placu Komuny.

– Już zamknięty.

– Więc w jakiejś kwiaciarni.

– O tej porze? Jest tylko jedna dyżurna kwiaciarnia w Śródmieściu – Zielony Rynek. Jeśli uważasz, że wypada spóźnić się dalsze pół godziny...

Puścił ją przodem, zatrzasnął drzwi i zamknął je starannie na wszystkie trzy yale'owskie zamki. Zgodnie z wieloletnią rutyną nacisnął jeszcze klamkę i napał barkiem na miejsce przy futrynie. Obcasy kobiety wesoło stukotały na schodach. Dogonił ją na półpiętrze. Wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu. Ich brzęk łagodził nieco jego rozterkę, ale tego dnia i tu czekała go niespodzianka.

– Słuchaj. – Jej wzrok spoczął na reklamowym, srebrnym breloczku, który pieszczotliwie obracał w palcach. – Nie rób sobie jutro co do auta większych planów.

– Niecee? A to czemu?

– Chcę trochę pojeździć wieczorem.

– Sama?

Przewidywał odpowiedź i nie pomylił się zbytnio.

– Z Tomaszem.

Milczał chwilę, a potem wybuchnął:

– Dlaczego akurat z nim?!

– Nie powiesz chyba, że jesteś zazdrosny. To taki miły, starszy pan i taki cierpliwy instruktor...

Przełknął ślinę. Wraz z nieufnością, która nawiedzała go ostatnio przy lada okazji, narastało również pożądanie. Ten krok! Rozstawiała lekko stopy, aby zdobyć na wąskich, wyszlizganych schodach pewniejsze oparcie. Lędźwie grały pod obcisłą sukienką, musiał zmrużyć oczy, aby ukryć swoją niewczesną namiętność. Teraz, kiedy znał sekret tego pięknego, dojrzałego ciała, znowu ją kochał, a w każdym razie – ciągle jej pragnął, i to znacznie bardziej niż w szczęśliwych, ufnych latach narzeczeństwa.

Miał ochotę objąć ją w pól, ale brakło mu odwagi. Rzekł pojednawczo:

– Może chciałabyś pojeździć ze mną?

– Jutro?

– Tak.

– Przecież masz zebranie.

– Nie muszę iść – powiedział. – Znajdę jakiś przyzwoity pretekst.

– Mówiłeś, że to ważne.

– Nieważne.

Pomógł jej obejść kilka wykruszonych stopni, przyczynę niejednego bolesnego upadku. Ten dom w samym pępku Łodzi... zastały smród kotów, duszna, drażniąca woń smażonej ryby. W duchu wyrzucał sobie, że tak wspaniała kobieta musi mieszkać w tej okropnej kamienicy.

Na podeście przytrzymał ją za łokieć. Szepnął cicho:

– Bądź dzisiaj dla mnie dobra, Krystyno.

Uniosła brwi z figlarnym zdziwieniem.

– Co przez to rozumiesz?

– Chciałbym, żebyś zachowała dystans i żeby ci różni faceci nie biegali za tobą z kąta w kąt.

– Podejrzewasz, że ich prowokuję?

– Nie. Ale kiedyś było inaczej.

– Jak? – Uwolniła delikatnie ramię. – Miałam mniejsze powodzenie?

Obcasy znowu stukotały na schodach. Potrząsnął kluczykami. Boże – pomyślał – boję się własnej żony. Teraz, po sześciu latach małżeństwa, czuję tremę, jakby była obcą kobietą. Dawniej mogłem obudzić ją w środku nocy, a w dzień zdobyć się na każdy, najbardziej sprośny gest; jeszcze dwa miesiące temu stosunek z nią był jałowym, pozbawionym emocji obowiązkiem, i nagle, za sprawą tego cholernego wymoczka, tej bladej, zagłodzonej, artystycznej miernoty... Jak ona mogła? Biustonosz, majtki... Zwariuję!... Gdybym był prawdziwym mężczyzną, jednym z tych jurnych osiłków, od których roją się ekrany kin, zaciągnąłbym ją teraz, chce czy nie chce, do domu i rzucił na łóżko.

3

Stefania i Janusz Magieliński, absolwenci Akademii, która produkuje artystów – co ich w dość szczególny sposób łączyło, jako że obydwoje uprawiali malarstwo – byli poza tym małżeństwem ze wszechmiar niedobranym. Janulek, jak go pieśczośliwie nazywali znajomi, to niezwykle utalentowany, śliczny, maledziński mężczyzna, troszeczkę tylko większy od liliputa, gościnnie i przyjazny wobec wszystkich, którzy odwiedzali go w pracowni na poddaszu. Jego żona tymczasem, starsza o cztery lata Stefania, wyższa od Janulka o półtorej głowy i chuda jak szczapa, przejawiała wszelkie cechy domowego satrapy. Jej sępią twarz

o zakrzywionym nosie i zapadłych policzkach świadczyła o stalowym charakterze i nienasyconej żądzy użycia. Chciała sławy, której zazdrościła mężowi, chciała seksu, chciała pieniędzy.

Sprawę tej pierwszej, sławy, załatwiała w trybie tak bezczelnym, że ludziom żyjącym ze sztuki opadały ręce. Kiedy Janusz miał jakąś wystawę w Łodzi, Warszawie czy też innym mieście, powiedzmy: trzydzieści obrazów, ona wtrzywała tam na siłę cztery swoje żalodne bohomazy. On podpisywał swoje dzieła maleńkimi literami u dołu, skromnie, Stefania natomiast waliła kulfonami: MAGIELIŃSKA. Kilkakrotnie udało jej się nawet wcisnąć ze zdjęciem do drukowanych katalogów, nigdy jednak nie sprzedała żadnego ze swoich arcydzieł. Mawiała, że jej czas jeszcze nie nadszedł. Czyż nie była podobna do van Gogha?

Janusz zaś miał na swoje pejzaże i portrety wielu amatorów, którzy brali je na pniu, pieniędzy więc ambitnej żoźle nie brakowało.

Co do seksu... Zostawmy na razie ten naładowany emocjami temat, prawda bowiem jest taka, że mansarda Magielińskich, usytuowana w jednej z owych tajemniczych łódzkich bram, rzucających całkiem inne światło na otwarte i czyste pozornie Śródmieście i biegnących mrocznymi zakolami od Piotrkowskiej aż po Sienkiewicza, właśnie z powodu erotycznych napięć i wyładowań ściągąca wieczorami w swoje progi „towarzystwo”.

Przychodzili lekarze obojga płci i to nie żadna tam początkująca medycyna, tylko osobistości z tytułami i sukcesami, którym nierzadko uderzył już groźny dzwon pięćdziesiątki.

Przychodzili prawnicy i tu znowu trzeba zrobić zastrzeżenie, gdyż nie wyłącznie adwokaci, za którymi zawsze podążała w trop rozwiązłość i chciwość, lecz również pewien paskudny z wyglądu i zawodu prokurator Pucharek i pewien emerytowany sędzia – tfu! – który zaprotestowałby w tym momencie, wrzeszcząc: – Nie jestem emerytem! Jestem Koroną Temidy w stanie spoczynku!

Przychodzili, rzecz jasna, selekcyonowani przez Stefanię artyści, koledzy po fachu: graficy, malarze, rzeźbiarze (a jakże! każdy widział ten gipsowy pomnik, sterczący to tu, to tam na parcelach Łodzi), ilustratorzy książek dla dzieci, pornograficznych albumów, mrozących krew w żyłach komiksów, kalendarzy, w których na dwanaście miesięcy roku przypadało dwanaście najpiękniejszych łodzianek, włącznie z tą niezyskującą już, lecz wskrzeszoną aktorką, która zapiła się na śmierć po stracie rodziców.

Przychodzili, pod krzywym okiem pani domu, wygłodniali poeci, skrachowani pisarze, znani ongiś filmowcy o naburmuszonych minach i dziurawych kieszeniach, w których nie utrzymał się złamany grosz; piosenkarze, konferansjerzy, urzędnicy magistratu, animatorzy kultury, podkreślający każdym łaskawym uśmiezkiem swoją wyższość; biznesmeni, nieskorzy raczej, aby sponsorować frajerów, łakomi wszakże na uroki telewizji, która tego dnia z pewnością odwiedzi Magielińskich, Januszek bowiem odebrał wczoraj za swoje portrety prestiżową nagrodę Witkacego.

Nieco spóźnione już wejście na tę zatłoczoną scenę państwa Krystyny i Artura Nawrotów przyjęte zostało nader serdecznie i ciepło. Posypały się mokre pocałunki, trafiające czasem blisko ust. Januszek wystrzelił z krzesła przy komputerze, w którym grzebał, nie zważając na gości, i przypadł z radosnym okrzykiem do żony Artura, który zarejestrował to kątem oka, grzęznąc jednocześnie w chudych ramionach Stefanii.

– Och, mój ty mężczyzno – wyszeptła, muskając go wargami w skroń. – Myślałam, że o nas zapomniałeś.

Był wysokim, przystojnym, znanym aktorem, budzącym wśród kobiet równie tkliwe uczucia, co Krystyna wśród panów.

– Zrobić ci drinka?

– Jestem samochodem.

– Możecie wrócić taksówką albo spać tutaj. Przecież już... zapomniałeś?...

– No już dobrze, Stefanio – uciął. Pomyślał, że i tak jutro samochód należy do Krysi. Wręczając kobiecie zamiast kwiatów butelkę whisky, powiedział: – Zrób mi tego drinka, niech ci będzie.

– Mali wódkowie, czy duzi wódkowie?

– Duzi.

– Z lodem?

– Trzy kostki.

Odplynęła uszczęśliwiona. Wtedy odwrócił głowę i zauważył, że Krystyna prowadzi ożywioną rozmowę z tym żulem, z tym sześćdziesięcioletnim niby to reżyserkiem, laureatem jakiejś enigmantycznej nagrody w Berlinie. Ruszył niczym rozjuszony byk w ich stronę, zaciskając zęby i pięści, lecz wówczas trącili się koniuszkami palców z utajoną, ale jednak czytelną poufałością i odbili od siebie, Artur zaś usłyszał wymówione głośno i wyraźnie nazwisko najbliższego przyjaciela.

– On w dalszym ciągu goli się brzytwą? – rzucił ktoś od niechcienia kpiącym tonem.

– Tak – wyrwało się zbyt szybko z ust ślicznej niegdyś, choć tęgiej prezenterki telewizyjnej.

– A ty skąd o tym wiesz?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Bo...

– Co?

– Przeprowadzałam z nim wywiad.

– Towarzyszył wam kamerzysta?

– Nie był potrzebny, bo uzgadnialiśmy dopiero szczegóły. – Obfity, znany w całym mieście biust prezenterki falował pod stanikiem.

– I uzgodniliście? – zapytał pękniętym głosem urażony najwyraźniej mąż owych legendarnych piersi i zdjął z nich rękę, cofając się o krok.

– Dajcie spokój! – napomniała ich Stefania, podając Arturowi szklanekę whisky, w której kostki lodu stukotały jak obcasy na schodach. I dodała z prostotą, aby pocieszyć zdruzgotanego męża: – Przespać się z Damianem Rossem to bardziej zaszczyt niż grzech, a poza tym – wbijała ostatni gwóźdź – może to było przed ślubem.

Raczej nie było przed ślubem, gdyż „Piersi” i mąż wraz z pracującą niezależnie ekipą telewizyjną opuścili pospiesznie mansardę w zakolistym podwórku przy Piotrkowskiej. Wszelako Damian Ross w dalszym ciągu był na tapecie.

– Podobno jest chory.

– Kiedyś dzień w dzień drałował po Piotrkowskiej i grzał stołki w pubach, teraz nigdzie go nie widać.

– A ja go niedawno widziałem.

– Gdzie?

– Raz w „Pozytywce”, raz w „Łodzi Kaliskiej”.

– W ogródku czy w środku?

– W środku.

– Z dziewczyną?

– Z facetem. I dziwne jest to, że w obydwu wypadkach był to ten sam facet.

– Może zmienił orientację seksualną – zauważył złośliwie pozbawiony nawet śladowego talentu pisarzyna.

– Jak pan śmie! – zgromiła go postawna pani doktor. – Umie się pan wszędzie wkręcić, ale on i tak jest od pana lepszy.

– Nie mam jakoś kompleksów.

– Szkoda! On tworzy, pan kradnie. Jego się czyta, pana się sylabizuje.

Niewysoki, czarniawy, bezgranicznie zapatrzony w siebie konus spłonął cegłą. Bełkotał coś pod nieforemnym nosem, ale w słowie żywym był jeszcze gorszy niż w pisanym i nie potrafił wygrzebać się z matni.

– Ross, w przeciwieństwie do Barnaby, jest anachroniczny – ruszył mu z odsieczą inny literat, zdeklarowany i nie kryjący tego pederasta (nie gadać mi tu, że kogoś obrażam, bo tego właśnie określenia używa w swojej *Uczcie* Platon). – Barnaba to pełną gębą współczesny autor: komputer, internet, kino domowe, odtwarzacze filmowych i muzycznych płyt, łączność telefoniczna z całym światem, natomiast Ross, bardzo przepraszam, niech się goli brzytwą, niech się nawet namydla pędzlem z borsuczej sierści, ale żeby w dwudziestym pierwszym wieku gryzmolić książki długopisem...

– On nie gryzmoli – zaprotestowała spowinowacona z Rossem korektorka. – Jego teksty są czyste i czytelne, bez skreśleń.

Gej, żeby już nikogo nie obrazić, łypnął na nią zapłyniętym oczkiem i ciągnął swoje:

– ...i nie mieć nawet komórki...

– Ma komórkę.

– Ale ładuje ją tylko wtedy, kiedy wyjeżdża za granicę albo idzie do szpitala.

– Sporo pan o nim wie – zauważyła z przekąsem solidnie zbudowana pani doktor.

– Podobnie jak pani.

Uczciwą i zatroskaną twarz lekarki pokrył lekki rumieniec.

– Był moim pacjentem.

– Wychudł okropnie – powiedział z autentycznym ubolewaniem człowiek, który widział Rossa w „Pozytywce” i w „Łodzi Kaliskiej” w towarzystwie obcego faceta.

– Jest chory – szepnęła pani doktor.

– Bardzo?

– Bardzo.

Spragniony towarzyskich splendorów pisarzyna, zawistny i zazdrośny o Rossa, burknął pod zniekształconym, tłustym nosem:

– Będziemy się bawić w chowanego.

– Na to wygląda – parsknął gej.

Artur oddał Stefanii pustą szklankę i oswobodziwszy ramię z jej uścisku, zrobił dwa zamaszyste kroki w ich stronę, wszakże nim zdobył się na trzeci, odeszli, pogodnie poklepując jeden drugiego, aby roztańczyć blaski w innej grupie.

Nie wiedział nawet, kiedy Stefania wetknęła mu w dłoń drugą napętnioną po brzegi porcję scotcha, w której nawet jeśli stukotały kostki lodu, to już tego nie słyszał. Pod rękę trzymała go teraz nie pani domu, lecz inna, powabna i śmiała kobieta, dawno wycofana z obiegu modelka Telimeny. Przemawiała do niego czułym, młodzieżowym żargonem:

– Luzik, Arturku, luzik. Daj na wstrzymanie. Pogięło odmieńców, kumasz? Kto jak kto, ale ty jesteś kumaty. Bzyk, bzyk. Zaraz pójda do kibla. Znasz tę muzę. Noc ponura, wicher duje, tańczą dwa garbate chuje.

Upił łyk. Był w owej początkowej fazie znieczulenia, kiedy człowiek staje się niebywale odważny, porywczy i szlachetny. Od trzech co najmniej miesięcy nie dzwonił do Rossa. A on jest chory. Poważnie chory. I samotny. Zbyt dumny przy tym, aby prosić kogokolwiek o pomoc. Miłość jest zdradna, przyjaźń nieśmiertelna. Ja tymczasem – myślał – martwię się o żonę. Jakby nie było w pobliżu innych kobiet. Ramię modelki grzało go, słodko go grzało. Lecz przed wszystkim trzeba zadzwonić do ukochanego, jedyne, wspaniałego Damiana Rossa.

– Jak masz na imię?

– Lolita.

– Zaczekaj tu.

– Nigdy nie spadam, jak jest browar i skręt, jak można wniuchać ścieżkę i jest dobra imprezka. Wrócisz?

– Wróć, muszę tylko zadzwonić.

– No to nara. A w ogóle to szacun, Arturku. Jesteś w porzo.

Co to on usłyszał ostatnio z ust młodej, brzemiennej, proszącej go o autograf fanki? Zachichotał. „Na maksa pokochałam ciula, panie aktorze, i zaciążyłam z palantem, niestety”. Wybrał w kąciku stacjonarny numer Damiana, ale nie odpowiadał; dziesięć długich, pustych sygnałów świadczyło o tym, że albo nie ma go w domu, albo celowo nie odbiera połączeń, z czego był znany.

Spróbuję później – postanowił i ruszył w gwar rozbawionych głosów, ku modelce, do której tulił się maleńki i śliczny Januszek laureat.

– Gratuluję, mega wystawka, kochanie – mówiła zdetronizowana, ale wciąż niesłuchanie atrakcyjna Królowa Wybiegu.

– Widziałaś?

– Słyszałam. No i matka czytała mi coś w gazetach.

– Ja też ci serdecznie gratuluję – powiedział Artur, ściskając drobną, ale twardą dłoń malarza. Miał ochotę podnieść go i potrząsnąć nim w górze, choć Januszek też już dobijał pięćdziesiątki. To naprawdę przemiły gość, szczerzy jak złoto. Jeśli ma jakieś grzechy, to pociąg do kobiet, pod tym względem jednak dogadał się ze Stefanią. – W tym mieście, gdyby nie ty, nie byłoby prawdziwych artystów.

– I gdyby nie ty! – wykrzyknął Januszek z leciutką nutką uniżenia. – A i Damian jeszcze. On jest prawdziwą legendą. Szkoda, że nie wzięłeś go tutaj.

– Dzwoniłem przed chwilą, ale nie odpowiada. Chyba gdzieś wyszedł, może do Jędrasa.

Krzepkie ramię modelki znowu go grzało. Druga szklanka była już pusta i Stefania podreptała po trzecią. Pijackie znieczulenie osiągnęło stan, w którym błędny wyrzuty sumienia (Ross) i folguje udręka zazdrości (Krystyna). Żona zresztą prowadziła się przykładowie. Łakoma na miłosne igraszki, nie lubiła alkoholu. Wypijała dla przyzwoitości kieliszek czerwonego wina, ale to wszystko. Nienawidziła Damiana

Rossa i czarowała teraz zwolenników pisarzyny. Gej pruł się na całe gardło:

– On nie tylko goli się brzytwą i pędzluje borsukiem. Dam głowę, bardzo przepraszam, że jak idzie do łóżka, naciąga na włosy siatkę. Kalamarż i gęsie pióro. Sienkiewicz się znalazł! A Barnaba, nawet jeśli coś uk... zapożycz, oddaje to w dwójnasób.

– Zamknij się! – Pisarzyna nie był zachwycony. Miał już trzy żony i syna, wszakże częste przebywanie z gejem stawiało pod znakiem zapytania jego i tak już nadwątloną męskość. I plecie bydle androny o jakichś zapożyczeniach, a on jest przecież samodzielny artystą.

Januszek ciągle jeszcze kleił się do modelki.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyszedł, Lolitko – szczebiotał. – Buzi.

Nie puszczając Artura, pochyliła się i pocałowała go w usta.

– Ja też się cieszę.

Stefania przyglądała się temu z zamyślnym uśmieszkiem. Stała obok potężnego, wysokiego faceta o głowie wygolonej do połysku. Snuła swoje własne plany. Nie oparła się jednak pokusie i bąknęła:

– Co dwa chłopcy, to nie jeden.

– Nie chcesz mi chyba zabrać Lolity, przyjacielu? – zapytał żartobliwie Artur.

– Kto wie? – odparł wesoło Januszek. – Noc jest długa, zaczyna się dopiero rozpędzać.

Artur znowu poszedł w ką, gdzie zgiełk rozmów był trochę mniejszy, i znowu zadzwonił do Rossa. Z tym samym efektem. Tym razem jednak dziesięć pustych sygnałów nie zraniło już jego duszy. Telefony działają w obie strony, nawet te stacjonarne. A że nie odwiedzałem go – myślał – aktor nie ma tego komfortu, aby tworzyć w ciszy czterech ścian, pisarz pracuje samotnie, aktor musi się ruszać: dzisiaj Łódź, jutro

Warszawa, pojutrze Wrocław. Wywiady, utarczki z reżyserem i producentem, męczy to wszystko jak cholera. Zresztą Ross, choć nie cierpi z wzajemnością Krystyny, również mógłby ich czasem odwiedzić, korona by mu z głowy nie spadła.

Wrócił do modelki i Januszka, którzy obściskiwali się bez żenady. Stefania wciąż miała na ustach zagadkowy uśmiešek. Stojący obok niej ogolony na pałę mężczyzna, młody, po czterdziestce dopiero, podszedł do Artura i wystrzelił z ręką. Po czym ni to stwierdził, ni zapytał:

– Pan lubi hazard.

– Niestety.

– Poker, ruletka, oko, same nudy.

– Zna pan coś ciekawszego?

– O, tak, o wiele ciekawszego. – Artur, choć nieźle już zamulony, odnotował, że osiłek mówi z nienagannym akcentem, że jego szare, przymrużone oczy są rozumne i że w opozycji do większości zaproszonych jest kompletnie trzeźwy. – Jeśli tylko nie brakuje dobrej woli, mogą to panu pokazać.

– Kiedy?

– Choćby dzisiaj.

– Dzisiaj to na pewno nie – zaprotestowała kategorycznie Stefania. – Dzisiaj oblewamy naszą nagrodę.

Artur zerknął na pustą szklankę, wszakże limit gościnności został wyczerpany.

– *Help yourself, but don't take too much.* – Wskazała stół nakryty białym obrusem. – Masz tam wino, jeśli lubisz mieszać, a lubisz; masz gorzałę, whisky i butelkę armaniaku, na którym nie poznali się jakoś nasi wytworni goście. Chodź! – Szarpnęła ramieniem osiłka. Stał jak słup, jakby go wbili w podłogę. Szarpnęła zniecierpliwiona ponownie – ani

drgnął, nieruchomy głaz, intruz spoza towarzystwa. Potem sam ruszył w inne rejony obszernego poddasza, sto dwadzieścia metrów kwadratowych co najmniej, rzucając Arturowi wymowne spojrzenie.

– Co to za gość? – zdziwił się aktor.

– Indykator – wyjaśniła Stefania i podążyła tropem zagadkowej osoby.

Podniósł do góry brew; był zorientowany w politycznych i społecznych kwestiach, lecz to słowo usłyszał chyba po raz pierwszy.

– Czym zajmuje się ten... indykator?

Modelka, posługująca się wprawnie językiem młodzieży, wyjaśniła go leniwie:

– Wymuszaniem długów.

– To znaczy?

– Pożyczyłeś od kogoś tysiąc złotych i nie oddałeś w terminie, więc odwiedza cię indykator i żąda pięciu tysięcy. Płacisz – dobrze, nie płacisz – obija ci mordę, demoluje mieszkanie i wyznacza kolejny termin, z tym że teraz chodzi już o dziesięć tysięcy.

– Za co? – Nie umknęło Arturowi, że pijana modelka przestała mówić młodzieżowym slangiem.

– Za fatywę i ku przestrodze. Za dojazd, za benzynę, za czas, no i procenty.

– Skąd o tym wiesz?

– Matka ma takie kłopoty – odpowiedziała z troską modelka.

– Z tym tutaj?

– Nie. Z innym. Ten tutaj jest fajny.

– A co tu robi wśród wytwornej łódzkiej socjety?

– Pomógł kiedyś Stefanii – przyznał niechętnie Januszek.

– Jak?

– Bo pożyczyła w Warszawie sto złotych. Wyczerpała kartę i brakowało jej do bluzki Diora. On przyszedł, prosząc grzecznie o trzy tysiące.

– I co?

– Nic. Stefa ma swoje sposoby. Skończyło się na tym, że to zleceniodawca dostał od warszawskiego wymuszacza po gębie i musiał jeszcze zapłacić patola za obrazę damy.

Zafascynowany, mocno już zawiany aktor słuchał tego z zapartym tchem.

– Nieprawdopodobne.

– Przeciwnie. Odkąd Widzew przestał bruździć Legii w lidze, stosunki między stolicą a Łodzią są poprawne.

Muszę natychmiast zadzwonić do Rossa! – postanowił Artur. – Jemu, odciętemu od świata, takie informacje się przydadzą, nie mnie. I ani słowa o chorobie! Rozrywkowo należy zadzwonić, a jak go nie ma, to do Pawła.

Pijacka faza, w jakiej znajdowały się teraz jego znieczulone zmysły, pobudziła bezczelność i wyobraźnię. Zawsze tak jest. Grzeczny, spokojny mężczyzna pokazuje nagle kły. To, co było niedawno jeszcze niemożliwe, staje się możliwe. Zazdrość, która zatruwała duszę, ustąpiła miejsca pożądaniu. Szczera troska uległa niezdrowej euforii. Nieosiągalna, racjonalnie biorąc, kobieta zamienia się w łatwy cel.

– Chodź, idziemy. – Pociągnął modelkę za rękę.

– Gdzie, dokąd i po jasny gwint, przecież tu jest zajebiście – wróciła nagle do slangu.

– Zobaczymy, jak smakuje armaniaczek.

– Dzisiaj w sam raz pasuje mi browar. – Oswobodziła delikatnie swoją dużą, lewą dłoń. Prawą trzymała na szyi Januszka. – Dasz zająrać? – Pociągnęła z wysokiej szklanki.

– Jasne. – Artur wyciągnął paczkę długich, czerwonych marlboro, stwierdzając z niepokojem, że zostały mu tylko cztery sztuki.

– Ja też mogę? – zakwilił niewinnie Januszek.

– Ty możesz wszystko.

– Po byku, po byku imprezka, niech skonam. – Ciągnęła z kolejnej szklanki, bo miała zapas na parapecie. – Gdzie poniosło tego wymuszacza?

– Podoba ci się? – spytał aktor.

– Jest w porzo. Zarąbisty gościu, sorki.

– Gdzieś ty się tego wszystkiego nauczyła?

– Mam dopiero czterdzieści pięć lat. Do szkoły wieczorowej chodzę. Trzeba zaliczyć maturkę, kumasz? A w ogóle o co ci biega? O szybki numerek?

– Nie chcesz?

– Tego nie powiedziałam. Ale pełno tutaj, jak zalukasz, niedobzykanych lasek. Ty?! Takie ciacho?! Każda stuknie się z tobą. Uważaj tylko, żeby nie podłapać francuza i żeby któraś nie zaciążyła, bo obedrę cię z kaski.

Odszedł i choć był pijany, poczuł się dotknięty. Rozpaliła go ta kobieta. Zazdrość o żonę zbladła zupełnie, bo Krystyna stała grzecznie, gdzie stała, trzymając w ręku nietknięty kieliszek.

Wtem Januszek, rzucił mu koło ratunkowe:

– Wróć do nas!

– Wcale tego nie chcecie.

– Chcemy! – zawtórowała modelka i brzmiało to szczerze. Była starą panną i objawiała to w osobliwy sposób. – Nie przeginaj tylko, czekamy na ciebie, spoko!

Jego myśli biegly teraz kilkoma torami; armaniak, nawet czystego szkła nie było, musiał opłukać pod zlewem szklankę; Lolita, lubi ostrych chłopaków, wymuszacz długów zamieszał jej nie tylko w głowie; i Damian Ross, żadnych trosk, żadnych chorób, żadnej śmierci, skreślamy tę kurwę! w radosną nutę należy uderzyć; dziwadło, odludek, krąży po mieście z własnym cieniem za plecami, lecz na baby chciwy jak Rasputin, ta szatynka o zielonych oczach, którą obracali wspólnie w Świno-